№ 81. Warszawa, dnia 27 Września / 8 Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

I

Ale tu w tém powietrzu oddychać nie można—rzekł chmurno. Zadzwoń o rachunek i herbatę.—Uczty tego rodzaju płacą się dosyć drogo; masz prawo budzić i być trochę niegrzecznym...

To mówiąc począł okna otwierać przybyły, aby ranne weszło powietrze. Towarzysz drugi przejrzał się w zwierciedle i poprawił włosy Spiął kamizelkę—westchnął.

— Niepięknie wyglądam dzisiaj—odezwał się: zmęczony jestem, niewyspany—okrutnieśmy hulali... i to od godziny dziesiątéj wieczorem aż do trzeciéj czy pół do czwartéj... Szampańskiego co wypili—powiadami ci... i to Roederer *Carte blanche*...

Sylwan twarzą zwrócony ku oknu jakby nie słuchał, drugi mówił ciągle:

— Poczciwy brat z ciebie, żeś się o mnie tu dowiedział.. lecz... darmo... ty już potępionéj duszy ze szpon szatana-świata nie wyrwiesz... mnie dyabli wziąć muszą...

— Nie widzę konieczności, rzekł Sylwan, i dodał, jakby odwodząc od téj rozmowy. Chodźmy.

— No—to idźmy do ciebie... zrobisz mi herbaty i położę się na kanapie.

To mówiąc począł szukać pan Herman kapelusza i paltota, nie mogąc ich nigdzie wynaleźć. Zamiast własnych, odkrył nareszcie palto ogromnych rozmiarów, widocznie zamienione, i zduszony kapelusz także cudzy.

— Patrzajże, proszę ciebie... oto ślicznie ztąd wyjdę wyekwipowany! Trzeba będzie do kosztów naszéj wieczerzy doliczyć nowe okrycie głowy i grzbietu...

Sylwan odwrócił się.

— Nikt twego stroju na ulicy o téj porze nie zobaczy, rzekł żywo, a po inny późniéj poszlemy do mieszkania, Staszek ci je przyniesie do mnie.

— A no! naturalnie, muszę wszelkie konsekwencye biesiady rad nie rad podźwignąć—dodał Herman. Chodźmy.

Sylwan co najśpieszniéj chciał się wycofać i szybkim krokiem począł iść ku drzwiom; wstrzymał go mijając stół Herman i wskazał nań.

— Patrz, proszę cię, na te wymowne znikomości ludzkiéj dowody: w jak prędkim czasie wszystko to zmieniło się w kupkę śmiecia!.. Kieliszek, z któregośmy wypili rozkoszne szały—śmierdzi trucizną... przepych obrócił się w brud... i żyjże tu na tym świecie!

Sylwan kiwnął tylko głową—wyszli oba z salki... W drugim i trzecim pokoju nie było nikogo w ostatnim znaleźli kellnera z serwetą w ręku, z otwartemi ustami, twardym snem ujętego w krześle.... Herman nie mógł wyjść, nie spłatawszy figla. Na kantorze stał kałamarz w którym umoczył palec i wąsy mu umalował. Śpiący opędzał się jego ręce, jakby czuł muchy... i zasnął znowu... Mimo groźnego spojrzenia Sylwana dopełniwszy co zamierzył, Herman z nim razem wysunął się wreszcie w ulicę... Tu dopiero się życie miejskie rozpoczynało od najtwardszéj pracy. Słychać było po bruku wlokące się wozy ciężkie, bokami ulic szli powoli robotnicy, sługi na pół odziane do otwierających się piekarni i rozwożących mleczywo, otwierano gdzie niegdzie okiennice, zamiatano przed domami — przedmówkę powszedniego życia mieli przed oczyma przechodzący. Sylwan wpatrywał się w nią z pewném zadowolnieniem, Herman oczy miał przymróżone, usta otwierały się ziewaniem. Szedł ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach. Stawał niekiedy i rozglądał się, czy jeszcze daleko byli od celu téj rannéj przechadzki. Nareszcie z ulicy głównéj zwrócili się w boczną, umajoną ogródkami, Sylwan otworzył furtkę, od któréj miał klucz i wprowadził brata w zaciszny kąt swój. Domek maleńki stał wśród sadu i kwiatowego ogródka bardzo czyściuchno utrzymanego... Był to raczéj rodzaj altany niż domu i zimą trudnoby w nim było wymieszkać. Latem za to nie mógł milszego i cichszego nad to znaleźć schronienia. Kwitły mu jabłonie, pachniały brzozy, miał zielone kobierce murawy i grzędy pstrych wesołych kwiatków. Duża salka i pokój sypialny z małą izdebką służącego składały cały ów dworek.

Pomimo licznych okien salka była przyciemna, bo krzewy wchodziły prawie do niéj i przypierały do ścian. Umeblowanie bardzo proste, sofy, krzesła, fortepian, szafka z książkami, stół zarzucony papierami ubierały skromnie pokój, w którym znać było pracowitego i cichego gospodarza. Na ścianach wisiały rysunki i sztychy, widoki i studya różnych kraju okolic... Tuż przeze drzwi sypialnia niewiele się od salki różniła... Sylwan otworzywszy drzwi poprowadził ciągle ziewającego jeszcze Hermana wprost do czystego łóżka które mu wskazał.. Nie dając się prosić zrzucił przybyły odzienie, schwycił szlafrok i pośpiesznie padł na posłanie.

— Czy mam czekać na przebudzenie z herbatą, czy do herbaty cię zbudzić? zapytał gospodarz.

— Naiwny jesteś, jeżeli myślisz że ja tak łatwo usnę, zawołał Herman. Potrzebuję położyć się

i spocząć, ale głowę mam pełną myśli—serce pełne wrażeń... sen mnie nie weźmie, choćbym go prosił. Każ robić herbatę, a sam zostań przy mnie...

— Więc—zaraz wrócę—rzekł Sylwan—czekaj.

Jakoż w kilka minut, przywoławszy chłopca, który się zajął gotowaniem orzeźwiającego napoju — Sylwan przyszedł i siadł przy bracie. Herman leżał z otwartemi oczyma, blady i widocznie zmęczony... ale oprócz znużenia cielesnego, widać na nim było znękanie moralne.

Sylwan wziął go za rękę... W tym uścisku braterskim gdy się dwie dłonie ich splotły, nie patrząc nawet na twarze, można było po rękach obu domyślić się dwóch natur, żywotów i zawodów odmiennych. Hermana ręka biała, delikatna, wypieszczona z żyłkami sinemi, należała widocznie do człowieka który nic nie miał do czynienia i mógł się nią bawić zarówno i życiem; palce Sylwana zapracowane, silne, opalone, muskularne oznajmowały, że nie próżnowały i nie ...kały się dźwignąć ciężaru ani podjąć walki...

...aż ich łączył węzeł braterski krwi i przy... nic bardziéj nie mogło się różnić nad ...rze obu młodych, pokrewnych nawet ...dzi—natury tak odmiennéj jak ich dło... ...rman był bardzo piękny, blady... wybie... ...yciem pokojowém i pieszczotami; w ustach ...ł wiele dobroci ale razem szyderstwa... z oczu i czoła biło sceptyczne rozczarowanie i lekceważenie wszystkiego, smutek razem i złość jakaś utajona, duma i boleść. Sylwana twarz podobna krojem, różniła się charakterem poważnym i łagodnym razem, pewną pokorą która może była tylko rodzajem przekształconéj dumy, w każdym razie nie waśniła się ze światem i spokojnie patrzała nań, nie mając żalu, iż nie takim był jak chciała. Sylwan też starszym się wydawał o lat kilka i dojrzalszym... w Hermanie młodość burzyła się jeszcze i buchała.

II.

— No, cożeś ty się tam tak zadumał? szepnął Sylwan, wyczekawszy aby się brat odezwał sam; czego tak wzdychasz i oczy słupem ci stoją? Wczorajsza zabawa co cię miała rozweselić, widzę jeszcze uczyniła cię kwaśniejszym. Zrzućże ten ciężar z serca, mów... przedemną możesz się przecię spowiadać otwarcie...

— Mój Sylwku... a co to pomoże? pieszczotliwie począł leżący na łóżku.—Życie ze wszystkiemi swemi tłómokami ciąży mi... kręcę się, rzucam i nie mogę trafić na drogę, którąbym mógł iść spokojnie dalej—a widzieć że zajdę do jakiegoś celu. Widzisz jestem z tobą szczery, bo za nic w świecie przed nikimbym nie przyznał do tego, co ci powiadam.

— Mówże, no mów, spokojnie odparł Sylwan... słucham... spowiedź ta ulży tobie.

— Ze świata i z siebie jestem nie kontent, ciągnął dalej Herman. Prawdę powiedziawszy, nie wiem sam czego chcę... gdzie idę i—co potém?.. co potém? na co to wszystko, kiedy się każda moja wyprawa argonaucka kończy tak, jak wczorajsza wieczerza?..

Podpoiłem i nakarmiłem najukochańszych przyjaciół moich, aby się dowiedzieć od nich, gdy się zaczęli wywnętrzać, że ostatecznie są nie wiele warci... Tak oni mi zbrzydli teraz jak to wino które piłem z niemi... Więc wszędzie spotykam rozczarowanie... i tak ci ma być *in saecula saeculorum?*

Sylwan jeszcze nic nie odpowiedział, zapalił cygaro i słuchał z powagą nauczycielską a politowaniem pewném...

— Mówże, no mów, mruczał ciągle. — Co dalej?

— A jeszcze w dodatku—rzekł nagle Herman, —głupiom się zakochał...

— Myślisz, żeś się zakochał? spytał Sylwan.

Brat spojrzał nań dziwnie.

— Szalenie, szkaradnie... do waryacyi! zawołał—zakochałem się!

— Który to raz? zimno znowu rzekł Sylwan... I znowu popatrzali na siebie, Herman się uśmiechnął.

— Tamte były—młodzieńcze płomyki... a to jest ogień piekielny! dodał z zapałem—zachwycająca istota!..

— Któż to taki? mówił Sylwan—boć nie prezesówna Iza?

— A! pfe! prezesówna! Krochmalna ta lalka; dzieło rąk guwernantki, która ją stworzyła na obraz i podobieństwo swoje... Jakże ty możesz mnie o coś takiego posądzać?

— Był przecię czas, gdy wielbiłeś Izę?

— Dopókim się nie przysiadł do niéj i nie rozmawiał z nią... przerwał Herman.

— Więc w kimże to nowe zakochanie?

— Mnie się zdawało, że ty powinieneś odgadnąć! Oszczędziłbyś mi upokarzającego wyznania, bo osoba... osoba...

— Cóż? zamężna? z oburzeniem zapytał Sylwan.

— A! nie! nie! niecierpliwie rzekł Herman, uderzając ręką o krawędź łóżka — jakżebyś ty nic nie zgadł!

— Ja bo nie mam daru zgadywania — uśmiechając się począł Sylwan—a najmniéj mógłbym się domyślać przedmiotu miłości takiego zapalczywego młodziana jak ty, który co kilka dni innemu obrazowi się kłania.

— Niestety — co teraz to podobno miłość na seryo!

— A! na seryo—słucham więc i bardzom ciekawy...

— Byłeś w teatrze? widziałeś Violę w rolach naiwnych dziewczątek?

Sylwan zmięszał się jakoś i zarumienił, lecz niepostrzeżenie dla brata; skinął głową nie chcąc się może zdradzić głosem, i mruknął:

— Tak—tak.

— Gdym ją po raz pierwszy zobaczył, podobała mi się, no—ale tak jak ładne dziewczę, młodziuchne a świeże podobać się może.—Zapaliłem się do twarzyczki, buziaka i oczek. Po sztuce w któréj grała poleciałem do Józka aby mnie za kulisy zaprowadził i zaprezentował.

— Co ci po tém? rzekł mi—jeśli Violkę bierzesz za pospolite dziewczę zalotne, z którém się myślisz pobawić i pożartować, żal się Boże zachodu...—A cóż to za przebrana księżniczka? począłem śmiejąc się. — Żadna księżniczka, rzekł Józiek, ale strasznie mądre stworzenie... ani przystępu do niéj — kwaśna, ostra, obraźliwa...

Pomimo że mi ją tak źle zarekomendował, uparłem się, poszliśmy z nim za kulisy. Violka szła jeszcze ubrana po wiejsku, gdyśmy ją spotkali. Józiek mnie przedstawił; spojrzała, kiwnęła główką i chciała zaraz uciekać. Palnąłem siarczysty komplement, chcąc ją upoić kadzidłem; roześmiała mi się w oczy. Śmieszek był niewesoły, szyderski. Zastąpiliśmy jéj drogę ażeby zmusić do dłuższéj rozmowy; nie zmieszała się tém wcale, i odpowiadała—ale mówię ci z takim dowcipem, przytomnością, tak bez najmniejszéj kokieteryi, żem został oczarowany. Rzadko w salonie najlepiéj wychowana panienka znaleźć się tak potrafi. Odszedłem, już za pierwszym razem mogę powiedzieć zakochany... Potém kilka razy starałem się z nią spotkać, i—dobiła mnie, a to ci powiem, że najmniejszéj nie zdaje się mieć myśli ani ochoty do tego, obchodzi się ze mną jak z dzieciakiem... dobrego słowa mi nie powie... a czarująca! czarująca!

Sylwan zaczął się śmiać sucho i dziwnie—Herman nań popatrzał.

— Czegoż ty się śmiejesz?

— Z twojéj szalonéj miłości, która będzie po no trwała właśnie tyle, ile teatr ten gości u nas...

— Znasz że Violę?

— Widziałem ją—począł siadając Sylwan... a przypadkiem dowiedziałem się jéj historyi, powiem ci więc ją dla tego, żebyś nie marzył o tym owocu zakazanym.

Herman westchnął. (*d. c. n.*)

ODNALEZIENIE DOKTORA LIVINGSTONA.

Telegram który obiegł całą kulę ziemską donosząc że: „Doktór Livingstone żyje" sympatyczne wzbudził zajęcie w całéj cywilizowanéj ludzkości.

Jednocześnie jednak tysiące ust zapytało: kto jest Livingstone,— bo odważna ta osobistość zaginęła od tak dawna, i tak często na próżno była szukaną, że dla znacznéj większości czytelników, —a mianowicie w obec wielkich wypadków politycznych, jakie spełniły się w ostatnich latach, nazwisko i losy Livingstona zaczęły się nieledwie w mgłach mytu rozpraszać. W szkicu niniejszym ograniczymy się jednak na wzmiance: że doktór Dawid Livingstone jest najznakomitszym z tych wszystkich badaczy-podróżników, którzy dotarli do wnętrza Afryki, i że jest zarazem najszczęśliwszym — przepędził bowiem z krótkiemi przerwami trzydzieści dwa lata wśród dzikich plemion Afryki południowéj, nie doznawszy losu tylu badaczy którzy stali się ofiarami okrucieństwa krajowców lub wpływów klimatycznych. Pomijamy tu zajmujące zkądinąd lata młodości podróżnika angielskiego i obfite w rezultaty naukowe podróże jego od 1840 do 1864 roku,— zamierzając głównie skreślić krótki opis jedynego w swoim rodzaju wypadku odnalezienia Dra Livingstona.

Dawno przed narodzeniem Chrystusa, zbadanie nieznanych źródeł Nilu budziło już zajęcie ludów kulturowych ugrupowanych około morza Śródziemnego; już Herodot wspomnina o źródłach Nilu, — a po nim Ptolomeusz: ztąd bajeczne góry księżycowe i potężne źródła o niezgruntowanych głębiach, z których Nil w kierunku północnym bieg swój miał rozpoczynać. Burton i Skepe, którzy od 1857 do 1862 roku z Zanzibaru ku wschodowi dotarli do jeziora Tanganyika, a potém kierując się ku północy, zetknęli się z olbrzymiem jeziorem Ukerewe (po angielsku Victoria Nyanza) sądzili że to ostatnie jest właściwém źródłem Nilu; Baker, który wyszedłszy z Egiptu, płynął w górę Nilu, uważał odkryte przez siebie w 1864 r. równie olbrzymie Mwutan Nsige (po angielsku Albert Nyanza) za drugie źródło Nilu. Ukarewe i Mwuton Nsige leżą oba pod równikiem. Tym sposobem zagadka źródeł Nilu zdawała się rozwiązaną. Livingstona to jednak nie zaspokoiło: wierny swemu zapatrywaniu się że żadna wielka rzeka nie bierze początkn z jeziora, postanowił wszystkie siły skierować ku jednéj myśli: szukania źródeł Nilu léj na południe. Na zachód i południo-zachód od trzech wymienionych wyżéj jezior, leży niezmierzony obszar Afryki środkowéj, do którego

nie dotarł żaden jeszcze badacz, i który też na wszystkich mappach przedstawiony jest w kształcie pustéj płaszczyzny. Do tego to obszaru, Livingstone chciał dostać się od wschodu.

W jesieni w 1865 r. opuścił on Anglię w pełni męzkiego rozkwitu, bo liczył lat 48,—popłynął do Bombay, a następnie do Zanzibaru. Na wiosnę 1866 r. puścił się lądem w górę Rowumy; zatrzymał się dłuższy czas u przyjaźnie dlań usposobionego naczelnika plemienia, a następnie z trzydziestoma przewodnikami szedł w kierunku zachodnim ku jezioru Nyassa. W ciągu tego pochodu większa część jego przewodników uciekła rozsiewając za powrotem do Zanzibaru wiadomość: że słynny podróżny po przebyciu jeziora Nyassa napadnięty został przez gromadę krajowców i zabity, — opowiadający zaś ratowali się ucieczką. Wszyscy potrafili skłamać tak misternie, że im ogólnie uwierzono.

Dla osiągnięcia pewności rząd angielski wysłał w 1867 r. wyprawę pod dowództwem Younga. Ten parowcem puścił się w górę Zumbesi i Shire, następnie lądem doszedł do jeziora Nyassa i dotarł do miejsca, w którem Livingstone miał być zamordowanym. Pokazało się że wszystkie opowiadania zbiegów były kłamstwami wymyślonemi w celu uniknięcia kary. Livingstone obszedł od południa Nyassę, z pośród mieszkających tam plemion przybrał sobie nowych przewodników i posuwał się daléj w kierunku północno-zachodnim. W ten sposób zaspokojona wyprawa rządowa powróciła do Anglii. W krótce też sam podróżny zaczął dawać o sobie znaki życia. W kwietniu 1868 r. posłaniec przywiózł od niego do Zanzibaru list pisany 2-go lutego 1867 r. w Bemba (pod 10 stop. szerokości południowéj 32 stopnie na wschód od Grecenwich). Później nadchodziły wiadomości z grudnia 1867 i z lipca 1868 r. Czwarty list pochodził z miejscowości zwanéj Udżidżi leżącéj daléj na północo-wschód na wschodnim brzegu jeziora Tanganyika; datowany był 30-go maja 1869 r.

Od tego czasu Livingstone przestał przysyłać o sobie wiadomości. Wszelkie wieści o jego losie pochodzące od krajowców lub handlujących arabów, miały tylko doniosłość niepewnych pogłosek: wielki badacz zniknął gdzieś bez śladu.

Konsul angielski w Zanzibarze, Dr. Kirk, starał się dosyłać Livingstonowi pomoc materyalną i próbował dowiedzieć się coś o jego losie, ale komunikacya ze środkiem kraju była tak trudna i pochłaniała tyle czasu, że miesiące całe upływały,—a oczekiwanie nie przyniosło żadnych rezultatów. Większa, dobrze zaopatrzona wyprawa mająca na celu odszukanie Livingstona, uorganizowaną nareszcie została, ale nie powiodła się z powodu wybuchnięcia cholery. Gdy rząd angielski nie przedsiębrał nadal żadnych środków energicznych w celu dowiedzenia się czegokolwiek o losie zaginionych, „Towarzystwo jeograficzne londyńskie," postawiło sobie za punkt honoru odszukanie Livingstona. W początku roku bieżącego, dowodzący projektowaną wyprawą oficerowie marynarki Heun i Dawson połączywszy się z synem Livingstona, Oswaldem, zamieszkałym w Anglii,—udali się do Zanzibaru. Wyprawa ich jednakże miała pozostać tylko projektem,—to bowiem do czego dążyli, było już dawno dokonane i to w sposób najmniéj przez kogokolwiek spodziewany.

Dwie osobistości prywatne z których jedna dostarczyła środków, druga środki te energicznie spożytkowała, dwaj młodzi ludzie przyzwyczajeni nie do mówienia lecz do działania, zabrali się bez rozgłosu do dzieła, i w krótkim czasie zagadkę rozwiązali.

Jednym z nich był James Gordon Bennett właściciel wielkiego dziennika amerykańskiego „New-York Herald",—drugim, Henryk Stanley, korrespondent pomienionego dziennika. Nazwisko pierwszego obiegało przed laty wszystkie dzienniki. Właściciel yachtu „Henrietta" odbył on z właścicielami yachtów „Vesta" i „Fleetwing" podróż wyścigową po oceanie atlantyckim z Nowego Yorku do Angli i po burzliwéj lecz szczęśliwéj podróży przypłynął jako zwycięzca wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia w 1866 r. do Cowes na wyspie Wight, wygrawszy przy tem nagrodę dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Dla dania pojęcia czytelnikom jakiemi środkami rozporządza dziennik Bennetta, wspomnimy tylko że posiada on kilka własnych parowców które wypływają na pełne morze z portu nowo-yorskiego dla zebrania wiadomości od statków przybywających z dalekich przystani a zanotowawszy co ważniejszego, powracają całą siłą pary i przygotowany przez drogę materyał do druku dostarczają do redakcyi,—wszystko to dla tego tylko ażeby „New York Herald" podał czytelnikom swoim ważniejsze wiadomości o parę godzin wcześniéj aniżeli inne dzienniki. Publiczność amerykańska umie też ocenić taką gorliwość redakcyi. „Herald" prócz tego posiada między ważniejszemi punktami Unii własną sieć telegraficzną; wiadomości polityczne z Europy, a nawet najdłuższe mowy, jeśli tylko są ważne, telegrafowane mu są dosłownie tak że czytelnicy w Ameryce i Europie czytają je jednocześnie.

Jak są postawieni lepsi korrespondenci takiego dziennika, łatwo z powyższego wywnioskować. Pan Henryk Stanley, będąc jeszcze bardzo młodym, należał do sztabu „Heralda" podczas wojny domowéj amerykańskiéj. W 1867 r. wysłany był jako sprawozdawca do Krety na widownię wojny o niepodległość, następnie w 1868 r. był z armią angielską w Abissynii a potem zwiedził Azyę w szerz i wdłuż aż do Bombay. Na zapytanie co ma daléj czynić,, otrzymał lakoniczną odpowiedź. „Jedź pan do Afryki środkowéj szukać Livingstona". Korrespondent wybrał się natychmiast w drogę; cel był prosty i jasny—koszta stanowiły sprawę drugorzędną.

W początku Stycznia 1871 r., Stanley był już w Zanzibarze i czynił niezbędne przygotowania; Wkrótce potém przybył do miejscowości Bogomoyo, leżącéj na lądzie stałym na przeciwko wyspy, był to punkt wyjścia wszystkich karawan przeznaczonych do wnętrza kraju. Przy pomocy energii i obfitych środków pieniężnych udało mu się w ciągu kilku miesięcy (termin nader krótki przy tamtejszych warunkach) uorganizować dobrze uzbrojoną wyprawę z którą 1 kwietnia wyruszył ku środkowi kraju. W początku Lipca doszedł do Unganyembe, miejscowości położonéj w dwóch trzecich odległości między brzegami i jeziorem Tagangika i stanowiącéj rodzaj punktu zbornego dla wszystkich przychodzących i odchodzących karawan. Ztamtąd to nadesłał pierwsze swoje sprawozdanie do „Heralda." Im daléj zapuszczał się Stanley w kierunku zachodnim, tem dokladniejsze dochodziły wiadomości o Livingstonie,—tak że szukający nie wątpił iż znajdzie znakomitego podróżnika przy życiu.

Od Unganyembe daléj w głąb się posuwając Stanley napotykał na coraz bardziéj mnożące się trudności, kilku drobnych władców miejscowych prowadziło między sobą i handlującymi arabami, wojnę na sposób prawdziwie afrykański. Stanley miał przez to drogę zatamowaną. Szybko jednak powziąwszy postanowienie zawarł sojusz z jedną ze stron walczących, pragnąc tém łatwiéj zwyciężyć drugą i zawrzeć pokój w jak najprostszy sposób. Razem ze sprzymierzonemi napadł on na kilka wsi nieprzyjacielskich, i już cieszył się z utorowanéj drogi, kiedy niebezpieczny paroksyzm gorączki przeszkodził mu w dalszém zbieraniu laurów wojennych. Cofnął się trochę pragnąc ratować zdrowie, ale przez ten czas szczęście zwróciło się do jego przeciwnika, tak, że w końcu Stanleyowi wraz z resztką wyprawy pozostawało tylko nadłożenie wielkiéj przestrzeni w celu obejścia terytoryum trapionego wojną. Zadanie nie było łatwe; otwarty lub tajony opór i złośliwość krajowców, nieposłuszeństwo własnych ludzi, niepogody i choroby opóźniały pochód Stanleya. Nareszcie w początkach listopada dotarł do jeziora Tanganyika, a 3 listopada 1871 r. z towarzyszeniem zwykłego w tym kraju hałasu bębnów, rogów i wystrzałów z broni palnéj, wszedł do miejscowości Udżidżi.

Pośród mieszkańców przyjmujących go w podobny sposób spostrzegł mężczyznę z siwą brodą skromnie po europejsku ubranego, w czapce marynarskiéj obszytéj złotym galonem. Wiedząc, że arabowie cenią wartość człowieka według powagi z jaką się przedstawia, Stanley korzystał ze stosownéj chwili, zbliżył się do mężczyzny w czapce, jak gdyby znajdował się z nim w Berlinie lub w Paryżu.

— Zdaje mi się, że doktór Livingstone, zagadnął z grzecznym ukłonem.

— Tak, była krótka prosta, z uśmiechem wymówiona odpowiedź, dana w pośród najdziwaczniejszego, charakterystycznego otoczenia, niepojmującego całéj doniosłości téj sceny którą „Wieniec" w Nrze 73 przedstawił już plastycznie swoim czytelnikom.

W ten tedy sposób odnaleziony został znakomity badacz—tak osiągnął cel swéj podróży korrespondent „Heralda." Livingstone był jeszcze rzeźwy, krzepki i silnie zdecydowany wyruszyć raz jeszcze na zachód w celu rozjaśnienia ostatnich wątpliwości w kwestyi źródeł Nilu. Rezultaty ostatnich jego wycieczek są w ogóle następujące: Na zachód od jeziora Nyassa między dziesiątym i dwunastym stopniem szerokości południowéj rozpościera się w wielkim obszarze od wschodu ku zachodowi graniczna okolica obrośnięta lasem, piętrząca się od czterech do pięciu tysięcy stóp, którą znacznie jeszcze przewyższają pojedyncze szczyty gór. Livingstone odnajduje tu bajeczną górę księżycową starożytnych; tam też znajdują się potężne źródła. Z pochyłości południowéj wytryska Zambezi z rozmaitemi odnogami, w kierunku północnym sączą się niezliczone strumyki ku szerokiéj dolinie, tam łączą się w kilka wielkich rzek, które znowu tworzą majestatyczną rzekę, w mnogich skrętach płynącą ku zachodowi i północy. Ta ostatnia rzeka przechodzi na zachód od Tanganyiki przez szereg wielkich jezior, między którémi przybiera rozmaite nazwiska jako to: Luopala, Luabala; Livingstone uważa ją za Nil właściwy. Różne niepowodzenia przeszkodziły mu niestety śledzić za biegiem rzeki aż do terytoryum badanego już od północy. Obecnie więc niestrudzony podróżnik nie jest jeszcze pewny czy odkrył górny bieg Nilu czy też rzeki Kongo lub Ogowaju wpadających do oceanu Atlantyckiego przy zachodnich brzegach Afryki. Chambese, którego nie należy mięszać z Zambesi jest od tegoż oddzielony graniczną okolicą i oddaje swoje wody nowo odkrytemu głównemu prądowi.

Takie są najgłówniejsze odkrycia zasłużonego

badacza. Dane przez niego zebrane pozostawiają niestety pod względem jasności wiele do życzenia. Livingstonowi przy końcu zbrakło już papieru; do notatek zbieranych pospiesznie przy zdarzonéj sposobności, mogły się łatwo wkraść błędy, a stan w jakim się znajdowały instrumen ta których znakomity badacz używał, nie dozwoliły mu przedsięwziąść ani dokładnych pomiarów wysokości ani ścisłego oznaczenia miejscowości. Jasne sprawozdanie ze wszystkiego co odkrył Livingstone, będzie możliwém dopiero po krytyczném opracowaniu całego materyału, a wdzięczną tę pracę, badacz jak się zdaje zachowuje dla siebie.

Na zachód od jeziora Tanganyika, Livingstone znalazł plemie zwane Manyema oddające się stanowczo ludożerstwu, obszedł jednak szczęśliwie to terytoryum i nie padł ofiarą apetytu antropofagów. Wszyscy krajowcy zamieszkujący okolicę graniczną, są to według niego ludzie intelligentni, silni i dobrze zbudowani; znakomity podróżny chwali szczególniéj rzadką wśród ludów murzyńskich piękność i jasny kolor skóry u kobiet.

Niezwykła to musiała być rozkosz dla Livingstona pozbawionego tak długie lata wszelkiego obcowania z ludźmi cywilizowanemi, rozmawiać ze Stanleyem i od niego dowiedzieć się jakie olbrzymie zmiany zaszły przez ten czas w stosunkach europejskich. Umiał on jednak spożytkować i te chwile, zwiedził bowiem wraz z korrespondentem Heralda północny koniec jeziora Tanganyika i przekonał się ostatecznie że jezioro to niema żadnéj kommunikacyi z jeziorem Mwutan Nsije (Albert Nyanzaa Bakera). Wróciwszy do Udżidżi obydwaj podróżni przepędzili tu razem święta Bożego narodzenia, a w końcu grudnia udali się na wschód od Unyonyembe, gdzie pozostawali do połowy marca 1872 roku. Następnie rozstali się. Stanley udał się z wiadomościami od Livingstona ku brzegom, ostatni zaś powrócił do Udżidżi gdzie miał oczekiwać na nową wyprawę z Zanzibaru z którą zamierza zakończyć swoje badania.

Tymczasem wyprawa uorganizowana przez Towarzystwo geograficzne londyńskie skończyła swoje przygotowania w Zanzibarze i przeniosła się do Bagamoyo, zkąd wyruszyć miała w głąb kraju. Ale w tymże samym peryodzie nadeszły od Stanleya rozmaite wiadomości, zwiastujące o szczęśliwym przebiegu i ostateczném powodzeniu przedsięwzięcia; z niecierpliwością oczekiwano na dalsze wieści. Nareszcie wieczorem 7-go maja 1872 r. rozległy się wystrzały po za granicami Bogomoyo, do którego wjeżdżał Stanley rzeźwy i energiczny jak zawsze, choć ciężko nawiedzony gorączką i kłopotami. Prawdziwie po amerykańsku ale pouczająco brzmi oznaczenie przez niego wagi własnego ciała: kiedy wyjeżdżał na poszukiwania ważył 178 funtów, powracając ważył tylko 120 funtów.

Po konferencyi z wymienionemi wyżéj dowódcami wyprawy angielskiéj, zaniechano téj ekspedycyi. Z przygotowanych zasobów wybrał Stanley wszystko czego życzył sobie Livingstone i posłał przez pięćdziesięciu doborowych ludzi do Udżidżi, zobowiązawszy ich do towarzyszenia badaczowi we wszystkich jego dalszych wycieczkach. Pełnomocnicy angielscy, a nawet syn Livingstona, woleli wrócić do Anglii nie biorąc udziału w wyprawie. Stanley również załatwiwszy wszystkie swoje interessa wrócił do Anglii



Most Vignoll'a w Kijowie.

przez Suez, Marsylię i Paryż. Koszta wyprawy jego do Afryki środkowéj wynoszą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, nie licząc sum na wiadomości telegraficzne przesyłane do Nowego Yorku i wypełniające całe szpalty nowo-yorskiego „Heralda."

Wszelkie uznanie należy się panu Gordonowi Bennettowi, właścicielowi pomienionego dziennika, który na tak szlachetny cel tak znaczny fundusz poświęcił; cześć też panu Henrykowi Stanleyowi, który z narażeniem życia, tak energicznie środków tych użyć potrafił!



Boa w zwierzyńcu berlińskim.

Most Vignoll'a w Kijowie.

Rzuciwszy okiem na rycinę już widzimy jak piękne nowożytnéj sztuki dzieło ozdabia stary gród Kijowa,—jestto wiszący most na Dnieprze zbudowany w 1835 roku.

Most ten wybudowany przez angielskiego inżeniera Vignoll'a; jestto most wiszący łańcuchowy, ma długości 450 sążni, szerokości 32 stopy, szerokość ta przedzielona na połowę dla wjeżdzających i wyjeżdzających wozów,—a z boków po cztery stopy dla pieszo idących, tak że przejazd każdy ma 12 stóp szerokości. Wysokość nad zwykły poziom wody wynosi pięć i pół sążni.

Roboty około budowy mostu rozpoczęto w roku 1848, w czasie najwyższego stanu wody w porze letniéj.

W pierwszym roku ograniczono się na urządzeniu skrzyń palowych dla dalszego budowania fundamentów arkad. Wezbranie wiosenne następnego roku, zniosło kilka takich skrzyń; ruchome dno piaskowe Dniepru, było długo silną przeszkodą w robotach podwodnych, które jednakże wkrótce zwyciężono i wzniosły się fundamenta arkad nad najwyższy stan wody jaki był w latach 1784, 1785, i 1786.

Dalsze roboty poszły już spiesznym krokiem. Sprowadzone z Angli żelazne części mostu umieszczono na swoich miejscach, i w roku 1853 most otwarty połączył Kijów z gubernią Czernigowską.

Pod względem handlowym ważny to był wypadek dla miasta,— Czernigowska bowiem gubernia należy do najurodzajniejszych okolic, a kto zapamięta jak strasznym był Dniepr w czasie wiosennego wylewu dawniéj—i ile ofiar pochłaniał corocznie w swych nurtach, dziś stanąwszy na moście może podziwiać majestatyczny widok i piękne dzieło które zniszczyło groźną tych wód postawę.

Jednocześnie z budową mostu, wypadało wzmocnić prawy (Kijowski) brzeg, uskutecznio-

no to za pomocą roboty faszynowéj wznosząc brzeg o dwa i pół sążni nad powierzchnią wody. Po nad brzegiem poprowadzono *szosse* aż do Padołu; daléj wzmocniony brzeg stanowi dogodną *przystań* dla statków.

Wzmocnienie brzegu uskuteczniono do roku 1859, i jednocześnie przystąpiono do drugiéj a nader ważnéj dotyczącéj mostu roboty.

Z lewéj strony jest odnoga Dniepru zwana *Czartoryą*, która nagle powiększyła się do tego stopnia iż zaczęła grozić zwróceniem się koryta rzeki, przez co cały most mógł pozostać na mieliźnie, a wybudowany daléj drewniany byłby uległ zniszczeniu. Silne tamy (gdzie ile tysięcy fur faszyn poszło, lepiéj inżynierowie od nas wiedzą) zwróciły koryto Dniepru na właściwe miejsce. (Zobacz opisanie Dniepru w 11 zeszycie Albumu Kijowa.)

Szosse, które łączy most z Padołem, do dwóch wiorst długości mające koncentrowało cały handel przywozowéj żywności w téj części miasta, i z tego powodu na innych miejscach Kijowa mieliśmy brak dowozu lub ceny stosunkowo wyższe, wyprowadzony obecnie nowy zjazd wprost na góry Pieczerska i téj ostatniéj niedogodności zapobiegł i dla tego to na początku powiedzieliśmy, że z otwarciem tego zjazdu, dopiero most całkowicie ukończony został.

Koszta na budowę mostu wyniosły do pięciu milionów rubli srebrnych.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Człowiek małpa; ostatnie słowo Darwina, studyum Dr. *Pawlickiego*. Lwów 1872.

Pod tym tytułem wyszła nakładem Seyferta i Czajkowskiego we Lwowie, broszura o 75 str., napisana przez dobrze znanego publicystę-filozofa, który niegdyś swoimi artykułami zasilał niektóre nasze pisma. Autor dzieli swą rzecz na dwa oddziały: *Ostatnie słowo Darwina* i *Człowiek małpa*. W pierwszym z nich stara się przedstawić teoryę Darwina, dotyczącą *zmienności rodzajów* czyli raczéj *gatunków* (*) i oczywiście wykazać jéj niedorzeczność i zbić ją, jako wiodącą wprost do materyalizmu;—w *drugim* przechodzi głównie pokrótce niektóre dowody, na których się opiera mniemanie, iż człowiek nie jest aktem oddzielnego tworzenia, lecz pochodzi pośrednio czy bezpośrednio od małpy, w skutek działania przez tysiące wieków, zewnętrznych fizycznych czynników na niego. W końcu tego oddziału stawia autor następujące wnioski, jako czynniki swego rozbioru: I. Małpa anatomiczną budową ciała różni się *nieskończenie* od człowieka. Na to zgadzają się: Vogt, Virchow, Darwin, Huxley i wszyscy inni;—II. Fizyologowie uważają za *niepodobne* wszelkie pokrewieństwo małpy z człowiekiem, ponieważ dwie te istoty rozwijają się według praw różnych w odmiennych zupełnie kierunkach;—III. Dotychczasowe badania geologów i naturalistów dowodzą, że żadnych pośrednich kształtów, wypełniających przepaść między człowiekiem a małpą, niemasz i *nie było*.

Znaliśmy uczonego autora dotąd jako sumiennego i ścisłego badacza i nie ma wątpliwości, iż ze zwykłą swoją bystrością i w tym przedmiocie umiał odszukać najsłabsze punkta teoryi i na nie żarliwie uderza. Lecz niestety na wykazanie jéj błędności i niedorzeczności, jak to autor zamierzył, brakło mu i podstaw i sił. Pierwszych dla tego, że dla zbicia téj teoryi potrzeba *niezbędnie ścisłych* wiadomości z anatomii i fizyologii człowieka i zwierząt i z powinowatych przyrodniczych nauk, które tylko specyalne zajęcie się tym przedmiotem dać może,„—a autor posiada wprawdzie przez czytanie zebrane *wiadomości* o tym przedmiocie,—lecz nie ma odpowiedniéj *nauki*, bo nie jest specyalistą. Drugich zaś dla tego, że z niewłaściwego w tym przypadku wyszedł stanowiska. Dla zbicia teoryi tego rodzaju jest tylko jedna droga; najprzód wykazać bezzasadność i błędność jéj podstaw i dowodów, a potém na téj zasadzie, sprzeczność i błędy rozumowania przy stawianiu danych i wyprowadzaniu z nich wniosków. Tymczasem autor obrał sobie przez siebie upatrzone stanowisko jako, główny punkt wyjścia, i na niém stojąc ocenia i nagina dowody i krytykuje wnioski. W dziedzinę czysto naukową budującą się na podstawie spostrzeżenia, doświadczenia i eksperymentu, wprowadza artykuł wiary, tekst pisma św. jako jedyną podstawę wyjścia, jako jedyny cel całego rozumowania i dowodzenia, co w naturalném następstwie do tego prowadzi, że wszystko w zakresie nauki co się, nawet *literalnie*, temu tekstowi sprzeciwia, *musi* być błędném chociażby było nawet *najoczywistszém*.

I tak powiada autor (str. 38): „Ile razy tekst pisma św. jest jasnym i zrozumiałym, nie mamy powodu odstępować od dosłownego tłómaczenia wyrazów. Powiada Geneza, że każda roślina miała nasienie *według rodzaju swego*," tak samo o zwierzętach, że zostały stworzone *„według rodzaju swego..."* i Bóg przywiódł wszystkie zwierzęta do Adama, a jak Adam *każde z nich nazwał, tak* jest *imię jego*." Ztąd autor wnioskuje: 1) że rodzaje zwierzęce od chwili stworzenia swego aż do dnia, w którym człowiek je przezwał, nie zmieniły się, bo wyraźnie powiedziano jest, że Bóg te rodzaje, które stworzył, a nie żadne inne, *przywiódł do Adama*;—2) że ani następnie się nie zmieniły, bo w takim razie nie byłby natchniony autor Genezy napisał tych słów: *wszystko co nazwał Adam duszę żywiącą, to jest imię jego*. Nazwa pozostać nie mogła, gdyby rzecz się była zmieniła. A jak słońce i ziemia w języku hebrajskim nazywają się tak jak je Adam nazwał, bo pozostały takiemi w istocie, jakie były za jego czasów, tak i zwierząt i roślin rodzaje pozostały niezmienne. Oczywiście mówimy o niezmienności rodzaju..." Nam się zdaje, że wprowadzenie do naukowéj dyskussyi elementów podobnego rodzaju jest co najmniéj—błędem, najszkodliwszém dla autora samego. Jeśli kto jest silnéj wiary i rozumny, to nie przyjmie nic takiego, coby się sprzeciwiało jego wierze, jeśli ono niebędzie niezbicie i dla niego pojętnie dowiedzioném; jeśli zaś słabéj jest wiary, lub nierozumny, albo całkiem nie ma wiary i postawiona przez naukę zasada nadto schlebia jego interesom lub namiętnościom, to artykuł wiary sam w sobie może wstrzyma go od przyjęcia téj zasady, wbrew wierze, jeśli się nie uda przekonać go w drodze logicznéj, na podstawie powszechnie przyjętych prawd, że owa zasada jest błędną, nielogiczną, lub nie mającą należytych podstaw. Wiara, osobiste przekonanie, może zatém służyć tylko za powód do zbadania dokładnego rzeczy będącéj z niemi w sprzeczności, ale nigdy za punkt wyjścia w *dowodzeniu*. To fałszywe stanowisko zmusiło tedy niejako autora do różnych wybiegów i zboczeń od rozumowych zasad naukowego sporu, które niepomyślnie wpłynąć musiały na całe przeprowadzenie jego założenia. I tak np. dla udowodnienia swojego założenia, autor ucieka się przy przedstawieniu zdań zbijanego autora, do pewnéj niedokładności w ich podaniu. Przytoczymy tutaj kilka przykładów. Str. 21 autor mówi: „któż jest ta natura pamiętająca o wszystkiem, opiekująca się wszystkiemi? Darwin odpowiada: jestto prawo wedle którego zmienne jednostki doznawają opieki! Czyż kto słyszał kiedy o podobnéj definicyi? Doznawają opieki! od kogo? Czyż od Boga? Czy może od natury? Jakim sposobem to być może, skoro ona jest tylko prawem, wedle którego jednostkom dostaje się opieka!" I na ten ton prowadzi daléj swe zarzuty przez całą stronnicę. Tymczasem Darwin mowi (Origine des espéces str. 119) tak: „*L'homme ne* peut agir que sur des caractères visibles et extérieures; la nature *si toutefois l'on veut bien nous permettre de personifier sous ce nom* la loi, selon laquelle *les individus variables et favorisès* sont protégès *dans le combat vital*, la nature, disions nous, ne sinquiéte point des apparances, sauf dans les casou elles sont de quelque utilité aux êtres vivants. Elle peut agir, sur chaque organ interne, sur la moindre difference organique, ou sur le mecanisne vital tout entier,"...(1) a na str. 117 mówi wyraźnie: „Il est (de même) très difficile d'eviter toujours de personnifier le mot de nature; mais par nature j'entends seulement l'action combinèe et le resultat complexe d'un grand nombre des lois naturelles et par lois, la serie nécessaire des faits telle, quelle nous est connue aujourd'hui."(2) I dodaje: „Chacun sait ce que signifient ces expressions métaphysiques presque indispensables a la clartè succincte d'une exposition. Des objections aussi superficielles sont sans valeur pour tout esprit déja un peur familiarisé avec le langage de la science"(3). Zestawiwszy te dwa zdania z sobą, a mianowicie mając wzgląd i na słowa podkreślone w pierwszém zdaniu, które autor jak się przekonać można przez porównanie, powypuszczał, nie trudno nabyć tego przekonania, że cały przez nas przytoczony ustęp jest tylko bengalską racą, pustą, jaskrawą, pozostawiającą po pęknięciu jeszcze większą ciemność za sobą. W innem miejscu mówi autor (str. 25) „naturę zdefiniował Darwin w sposób niezrozumiały, a o definicyi rodzaju nawet niepomyślał, twierdząc, że to pojęcie *bez wszelkiéj obiektywnéj* rzeczywistości, tak że sam tytuł książki „o początku rodzajów" wielkim jest paradoksem. Powinien był raczéj taki

(*) *Uwaga*. Musimy nadmienić, że autor niedokładnie tłómaczy species, espèce, Art, przez rodzaj. *Rodzaj* oznacza genus, genre, Geschlecht albo Gattung, a *gatunek* species, espèce, Art,—Darwin mówi o powstawaniu *gatunków* (espece). W systemie przyrodniczym człowiek stanowi nie *species*, *gatunek* ale *genus*, *rodzaj*. Dla tego w tém dziele Darwina tak mało jest mowy o człowieku.

(1) Człowiek może działać tylko na znaki widome i zewnętrzne; natura, jeśli mi tylko wolno uosobić pod tą nazwą *prawo*, według którego jednostki zmienne i faworyzowane doznają opieki w walce życiowéj,—natura, mówimy, nietroszczy się wcala o pozory, chyba w tych przypadkach, w których są czémkolwiek użyteczne żyjącym jestestwom. Ona może działać na każdy organ wewnętrzny, na każdą organiczną różnicę a nawet na cały życiowy mechanizm

(2) Również jestto rzeczą bardzo trudną, uniknąć zawsze uosobienia wyrazu: natura; lecz pod tym wyrazem ja rozumiem tylko skombinowane działanie i rezultat powikłany znacznéj ilości przyrodzonych praw; a pod wyrazem *prawo*, niezbędny szereg wypadków, taki, jaki nam dziś jest znany.

(3) Każdy wie dobrze, jakie mają znaczenie te metafizyczne wyrazy, niezbędne prawie dla zwięzłości i jasności wykładu. Zarzuty tak powierzchowne nie mają żadnéj wagi dla umysłów, cokolwiek tylko obeznanych z umiejętuym językiem.

napis położyć: „o początku tego co nie jest“ bo dla niego rodzaj nie istnieje. (Orig. des espèces str. 69). Tymczasem porównajmy tekst francuzkiego tłomaczenia Darwina, do którego się autor odnosi. Tam czytamy: „Je ne puis non plus discuter ici les diverses definitions, qu'on a donnèes du terme *d'espèce.* Aucune de ces definitions n'a encore satisfait *pleinement tous les naturalistes;* et cependant chaque naturaliste sait au moins vaguement ce qu'il entend quand il parle d'une espèce. En général cette expression sousentend *l'élement inconnu d'un acte distinct de création.*“(4)

Porównajmy teraz oba zdania, a będziemy mieli wyobrażenie o *dokładności*, mówiąc bardzo pobłażliwie—cytat autora. Dla rzucenia jaskrawych barw przytacza np. (str. 7): „Treść jéj (t.j. pracy Darwina o pochodzeniu człowieka) zamyka się mniéj więcéj w tych słowach: *pierwsi ludzie* byli okryci grubą sierścią, mieli uszy spiczaste, ruchome, nogi chwytkie i t. d.“ Jest to cytata z dzieła Darwina „o pochodzeniu człowieka“ w tłómaczeniu niemieckiém Carusa. Tymczasem Darwin mówi w owém miejscu: (t. I str. 180) „Die *frühen Urerzeuger* des Menschen waren *ohne Zweifel einst* mit Haaren bekleidet, wobei beide Geschlechter Bärte hatten(5) i t. d.“ Nie mówi się tu zatém o *ludziach*, ale o dawniejszych protoplastach (frühen Urerzeuger) ludzi, od których, według teoryi Darwina, wskutek działania tysięcy wieków w pomyślnych warunkach życia, rozwinął się w końcu *człowiek*. Że ten wyraz „frühe *Urerzeuger*“ rzeczywiście nie do człowieka się odnosi ale do istoty, która go na ziemi na tysiąc wieków może uprzedziła, łatwo odgadnąć, mając wzgląd na to, że Darwin tego wyrazu wszędzie w tém znaczeniu używa, a nawet na kilka wierszy przed tym ustępem mówi: „Wir wollen nunmehr den Menschen betrachten wie er gegenwärtig existiret, und ich meine, wir werden theilweise im Stande sein, in den aufeinanderfolgenden Perioden, aber wohl nicht in der gehörigen Zeitfolge, *den Bau unserer frühen Urerzeuger zu rekonstruiren.* Diess kann mit Hülfe der Rudimente ausgeführt werden, welche der Mensch noch besitzt, ferner durch die Charaktere, welche gelegentlich bei ihm in Folge *eines Rückschlags* zur Erscheinung kommen und endlich durch die Hülfe der Gesetze der Morfologie und Embryologie.“(6) Gdyby o człowieka tego co dziś istnieje, rzeczywiście chodziło, toby go nie potrzebował tak sztucznie odbudowywać w drodze naukowéj. Wreszcie myśl wyjaśnia opis wewnętrznéj jego budowy, która się żadną miarą do niego stosować nie może i następne słowa, któremi ów opis kończy: („str. 181) Diese *frühen Vorläufer* des Menschen, welche wir hiernach *in den dunklen Zeiten vergangener Aeonen* sehen, müssen so niedrig organisirt gewesen sein, wie das Lanzettfischchen oder Amphioxus, oder selbst noch niedriger.“ (7) *(d. n.)*

(4) Nie mogę również tutaj rozbierać różnych określeń rodzaju (gatunku), które dotąd postawiono. Żadne z tych określeń *niezadowolniło* dotąd *w zupełności* naturalistów, a jednak każdy z nich wie, chociaż niejasno, co ma na myśli, gdy mówi o gatunku. W ógóle wyraz ten oznacza nieznany pierwiastek oddzielnego aktu stworzenia.

(5) Najdawniejsi *protoplaści* człowieka byli *bezwątpienia* pokryci włosami, przy czém osoby obojéj płci miały brodę.

(6) A teraz rzućimy okiem na człowieka tak jak on *obecnie* istnieje, i sądzę, że będziemy po części w stanie *odbudować* napowrót budowę naszych najdawniejszych protoplastów, jeżeli nie tak jak się wyrabiali z biegiem czasu, to przynajmniéj tak jak to miało miejsce w następujących po sobie okresach. Możemy to uskutecznić za pomocą szczątków, które człowiek jeszcze posiada, jako też i za pomocą znamion, pojawiających się u niego czasami w skutek cofnięcia się, a w końcu za pomocą morfologii i embryologii (nauki o powstawaniu tkanin i o rozwoju zarodka).

(7) Ci starodawni *zwiastuni* człowieka, których widzimy zatém w cieniach minionych tysięcy wieków, musieli posiadać tak nizką organizacyą jak ryba lancetnik lub amfioksus, albo też jeszcze niższą.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 80).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.— Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

III.

Teodor Mommsen, jeden z największych historyków współczesnych, jest także *cezarystą* i to zarówno w ścisłém jak i w szerszém znaczeniu tego słowa. Jego Historya Rzymska przenikniona jest uwielbieniem dla Juliusza Cezara, dla jego czynów, planów i całéj polityki. W czasach dzisiejszych Mommsen okazał się najzaciętszym nieprzyjacielem Francyi, i w ogólnym chórze złorzeczeń przeciwko wielkiemu narodowi, płynących z ust poetów i uczonych większych i mniejszych wziął niepośledni udział. P. Gaston Boissier, postanowił wykazać, że ta nienawiść historyka nie jest świeżéj daty, że w pomnikowém jego dziele żyje i rozpiera się duch przenoszący niechęć i wzgardę do rassy celtyckiéj w najodleglejszą przeszłość, że skutkiem tego historya rzymska Mommsena nosi na sobie ciemne punkta stronniczych uprzedzeń. Śledzeniem tych ciemnych punktów zajmuje się właśnie studyum p. Boissier, którego podjęliśmy streszczenie. Nie będzie to zatém dokładny rozbiór dzieła Mommsena, ale raczéj poszukiwanie, o ile zmysł dzisiejszości zaszkodził prawdzie historycznéj w badaniu dziejów rzymskich. Zalety pracy Mommsena są tak liczne i tak potężne, że zarzuty p. Boissier, jakkolwiek słuszne, wydały nam się zaledwie delikatnym cieniem, który podnosi effekta światła w obrazie, ale ich bynajmniéj nie przytłumia.

Niech nam tu będzie wolno wypowiedzieć, że nie wierzymy w zupełną, idealną bezstronność historyka. Każdy człowiek jest dziecięciem swego czasu, wydaje sąd o ludziach i rzeczach według wrażeń, które najsilniéj na niego działały, a które w wielkiéj retorcie myślenia przedystylowały się na przekonania. Wymaganie od historyka zupełnego wyrzeczenia się sympatyj i uprzedzeń osobistych, zdaje się przesadzoném. Idzie o to, aby dziejopis szczerze ukochał przeszłość i umiał ją odtworzyć z prawdą artystyczną,—aby w poszukiwaniu istoty faktów nie dał się w błąd wprowadzać lada pozorami i nienaginał dowolnie ich treści dla udowodnienia własnych apriorycznych założeń. Jeżeli historyk potrafi ucieleśnić dawno minione życie, nadać mu kształty, ruch i barwę rzeczywistą, na niezbitych dowodach oparte, sąd o ludziach i wypadkach, potępienie dla jednych, uznanie dla drugich pozostawić mu należy.

Mommsen, jak każdy wielki historyk, dopatruje w dziejach związku przyczynowego, idei opatrznościowéj. Idea ta wypełnia się według niego za pośrednictwem geniuszów siły, którzy od czasu do czasu wstrząsają ziemią i prowadzą ludzkość na nowe drogi. Organizacye historyczne, choćby najsympatyczniejsze z pozoru, jeżeli tylko nie posiadały siły żywotnéj oporu przeciwko prądowi wypadków, jeżeli nie potrafiły na danéj epoce wycisnąć pewnego charakterystycznego piętna—są dla niego bez znaczenia. Ztąd autor Historyi Rzymskiéj wydaje się ślepym hołdownikiem powodzenia. Jeżeli w dziejach starożytnych sympatye jego są po stronie Rzymianina Cezara, w walce z bohaterskimi Gallami, w wiekach średnich stanie po stronie Karola Wielkiego zwycięzcy Saksonów, a w czasach nowych ukorzy się przed geniuszem militarnym i administracyjnym Napoleona. Nie do nas należy rozbierać, czy przekonania znakomitego uczonego są uzasadnione; zaznaczamy je tylko jako mogące odeprzeć wiele zarzutów p. Boissier'a do których właśnie przystępujemy.

P. Boissier na wstępie zestawia Mommsena z Niebuhrem. Dzieła obu tych historyków cieszyły się w swoim czasie powodzeniem, każde z innych przyczyn. Niebuhr ogłosił swoją pracę wkrótce po bitwie pod Jeną, kiedy całe Niemcy oddychały żądzą odrodzenia w nauce, sztuce i życiu. Przyklaskiwano wtedy myślicielom śmiałym, potęgom twórczym, snującym systemata jasno określone i stanowcze. Był to okres poetyczny wiedzy niemieckiéj.

W tym to okresie, Niebuhr pierwszy obalił dawne rutyniczne poglądy na początkowe dzieje Rzymu, i wziąwszy do pomocy tylko siłę imaginacyi w związku ze znakomitym zmysłem intuicyjnym, odtworzył cały cykl historyczny z kilku legend, z urywków pisarzy, których dzieła zaginęły, z zabytków poezyi i sztuki. Natura prawdziwie bogata i artystyczna, Niebuhr nie znosił próżni i braków w swych kreacyach;—w niedostatku źródeł snuł własną kanwę, a umiał ją zadziwiająco godzić i harmonizować z całością. Budowa jego nie wytrzymała krytyki czasu, ale pozostałe z niéj ruiny olśniewają jeszcze wspaniałością i blaskiem.

Dziś wiatr wieje w stronę prozy, uczeni nie tak łatwo wznoszą się pod obłoki, ale za to silniéj trzymają się ziemi. Teodor Mommsen jest mniéj śmiały od Niebuhra ale też posiada i mniéj imaginacyi. Jego metoda jest ostrożniejsza i ściśléj naukowa. Niekiedy jednak nie chcąc naśladować swego wielkiego poprzednika, wpada w ostateczność wprost przeciwną. Niebuhr wysnuwał większą część swych wniosków ze świata legendowego, Mommsen nigdy się do niczego nie odwołuje. Tradycye doszłe aż do nas z przekręconemi nazwami ludów i z chaotycznemi legendami, są podobne, zdaniem Mommsena, do tych liści zeschłych, które najlżejszym nawet odcieniem nie przypominają dawnéj zieloności. Szkoda czasu na słuchanie wiatru, co je unosi. Tak więc Mommsen za jedyne źródło uważa posągi, medale, napisy, zabytki architektoniczne,—a głównie naukę grammatyki porównawczéj którą tak świetnie w dziele swém zastosował. Hypotezy Niebuhra pociągające, choć niepewne, ustąpiły tu miejsca twierdzeniom gruntownym, trwałym, na nieubłaganéj logice faktów wspartym.

Rzym pierwotny będący według Niebuhra zbiorem dzielnic feodalnych, otoczonych murami i fossami, z których bohaterowie posyłali sobie kartele i występowali na forum do zapasów pojedynczych,—zdan'em Mommsena był jedynie dobrym punktem składowym i wielkiém targowiskiem. Założenie swoje zawdzięcza wieczne miasto względom handlowym. Jeśli się zdecy-

dowano zbudować je na terrytoryum niezdrowém i jeżeli stało się tak kwitnącém pomimo niszczącéj i wyludniającéj corocznie zarazy, to dla tego że stanowiło wygodny punkt składowy dla wioślarzy spuszczających się z wyższego Tybru lub Anio, oraz pewne schronienie dla statków uciekających przed piratami na morze.

Skutkiem takiego wyjaśnienia powstania Rzymu, Mommsen zwraca szczególniejszą uwagę na następne położenie ekonomiczne państwa. Trzy właściwie pytania od samego początku Rzeczypospolitéj zajmowały przeważnie rzymskich mężów stanu. Od rozwiązania tych pytań zależała przyszłość i znaczenie państwa. Pierwsze z nich było całkowicie polityczne: miasto zawierało dwa żywioły ludności różne pochodzeniem, rozdzielone, nieprzyjazne; jakim sposobem można je pogodzić i zlać w jeden naród? Drugie nazwać można narodowém: U bram miasta znajdują się uzbrojone ludy italijskie żądające wstępu,—powołują się na wspólność pochodzenia, dawne zasługi i krew przelaną za sprawę Rzymu; jakąż odpowiedź dać ma się na ich żądania? Trzecie wreszcie pytanie było czysto ekonomiczne: Rzym powiększał corocznie swoje terrytoryum przez zdobycze, cóż więc uczynić z nowemi posiadłościami? Patrycyusze pragnęli je zachować dla siebie,—lud domagał się udziału. Komuż więc je przyznać?

Z tych trzech pytań Mommsen zajmuje się nadewszystko ostatniém. Inni historycy mieli oczy głównie zwrócone na dwa pierwsze: rozdział władzy konsularnéj pomiędzy patrycyuszów a plebejów i dopuszczenie ludów Italii do praw obywatelstwa rzymskiego, stanowią dla nich najważniejsze wypadki w dziejach Rzymu. Uwaga Mommsena w inną zwrócona stronę. Zastanawia go przedewszystkiém rozciągłość wielkich posiadłości gruntowych, przed którą cofa się ciągle drobny właściciel,—utworzenie sztuczne arystokracyi finansowéj i ten niepolityczny środek sprowadzania do Rzymu zboża z zagranicy dla wyżywienia mieszkańców, środek, który sprowadził ruinę rolnictwa italskiego,—wreszcie zwiększanie się ciągłe ludności niewolniczéj na tych ziemiach, z których wolny pracownik ucieka. Te wewnętrzne nędze rozwinoważą w oczach wielkiego historyka—podbicie świata. Epoka wojen punickich uważana powszechnie za najświetniejszą w dziejach Rzymu, dla Mommsena stanowi właśnie początek upadku, dziwi się iż żaden mąż stanu nie dostrzegł niebezpieczeństwa i z mniejszém uwielbieniem mówi o tym senacie, który wypędził Hanibala, skoro go widział niezdolnym do poznania i zaradzenia wewnętrznemu złemu. Słowem cały upadek Rzymu przypisuje Mommsen błędowi ekonomicznemu, niedostatecznemu poznaniu warunków rządzących wytwarzaniem się i rozdziałem bogactw.

Ten silny nacisk na stosunki ekonomiczne zdradza w autorze „Historyi Rzymskiéj" umysł chłodny, wyrachowany i na wskroś przeniknięty duchem nowszych czasów. Mommsen istotnie pisze dzieje starożytne z okiem nieustannie zwróconém na wypadki chwili obecnéj. Bohaterowie przeszłości przybierają pod jego piórem barwy nowożytne, myślą często według naszych pojęć i działają na zasadzie tegoczesnych pobudek. Porównań i zestawień podobnych używa znakomity historyk wtedy szczególniéj, kiedy się gniewa lub oburza, co mu się zresztą dość często przytrafia. Ile razy burzliwe koleje wielkiego państwa budzą w nim wspomnienia chwil stanowczych z dziejów Germanii, patryotyczne uczucia człowieka odnoszą przewagę nad spokojem poglądu historyka, i skłaniają go do wplecenia w wielką sieć rozumowań historycznych, uniesień, namiętności i przekonań czysto osobistych.

Jest to może jedna z najgłówniejszych przyczyn popularności dzieła Mommsena, i zarazem jeden z najsilniejszych przeciwko niemu zarzutów. Pod tym względem autor „Historyi Rzymskiéj" zachodzi dalej od swego poprzednika Niebuhra. Professor berliński rozumiał także, że w dzisiejszym stanie wyobrażeń, owe opowiadania historyczne, w których osobistości zdawały się obcemi rodzajowi ludzkiemu, nie potrafiłyby budzić zajęcia. Ażebyśmy mogli pojmować dzieje starożytne, potrzeba je do nas przybliżyć, odwzorować przeszłość na teraźniejszości, ożywić posągowe postaci tchnieniem uczuć, pragnień i namiętności ogólnie ludzkich. Niebuhr używał więc w wykładzie swoim porównań pewnych, wybitnych momentów z przeszłości z podobnemi chwilami w dziejach późniejszych, ale nie dochodziło to u niego aż do zatarcia zasadniczych cech odrębnych, któremi się odznaczało życie starożytne. Mommsen zbyt często przekracza tę linię demarkacyjną. *(d. n.)*

BOA

W ZWIERZYŃCU BERLIŃSKIM.

Ogród zoologiczny w Berlinie, jeden z pierwszych w Europie—zbogacony został w ostatnich czasach wspaniałym zbiorem węży, których dotąd było tam bardzo mało. Rysunek przedstawia rozgłośnego dusiciela—Boa Constrictor. Rodzaj boa czyli połoz obejmuje gady olbrzymie, których głównemi cechami są: otwór paszczy bardzo rozciągalny, kości międzyszczękowe ruchome, uzbrojone zębami, tył głowy pokryty drobnemi łuskami, cały zaś spód ciała listewkami rogowemi ułożonemi w poprzek jak półobręcze, ogon krótki i szczupły, lecz nader chwytny, nakoniec po bokach ostatniéj listwy brzusznéj mają małe szponowate sęczki, które tu przedstawiają szczątki nierozwiniętych nóg.

Gatunki do tego rodzaju należace są liczne, zamieszkują głównie gorące strefy Ameryki południowéj, a różnią się głównie strojem grzbietu. Boa dusiciel dochodzi 10 do 15 stóp długości, a przystrojony jest na grzbiecie wytwornym rysunkiem, niby łańcuchem złożonym z plam czarniawych i bledszych. Gatunki objemowane nazwą *anakonda* bywają od niego większe.

Boa należy do wężów niejadowitych z powodu jednak swéj siły i drapieżności straszny jest dla wielu zwierząt. „Dusiciel—mówi Lacepede, jest tém między wężami, czém słoń lub lew między czworonogami, przewyższa zwierzęta swego rzędu wielkością, jak pierwszy a siłą jak drugi." Chwytny ogon służy im do wieszania się za gałęzie drzew, niekiedy w znacznéj wysokości, i w takiéj postaci, niedostrzegalne wzdłuż pnia, czatują na zdobycz, rzucają się na nią znienacka, zwojami ciała duszą i powoli całkowicie połykają. Rozciągliwość paszczy dozwala im przełykać zwierzęta znacznie od nich grubsze, jak pancerniki, leśne świnie amerykańskie, często psy. Boa zajęty przełykaniem zdobyczy jest prawie bezwładny, a że łykanie jest nader powolne, wymagające niekiedy kilku dni, stan ten obezwładnienia trwa znaczny przeciąg czasu i przedłuża się jeszcze podczas trawienia. W tym stanie obezwładnienia boa nie umie się nawet ruszyć i wtedy bez żadnego niebezpieczeństwa zabity być może, ale skoro tylko uczucie głodu zawita, boa odzyskuje są zwinność i rozpoczyna znów polowanie. Przesuwa się wśród krzewów i trawy niby ogromny pień popychany siłą niewidzialną, nic go niepowstrzymuje, nic od niego nieochroni zdobyczy, ani rzeki które przebywa wpław, ani drzewa na których się szczyt najwyższy dostaje, W opisach podróży można znaleźć szczegóły silnie przesadzone, jak o połykaniu przez te węże koni i wołów,—te i tym podobne wiadomości należy przyjmować bardzo ostrożnie, obfitują w nie zwłaszcza opisy podróży obrabiane dla dzieci.

Dawniéj Meksykanie oddawali mu cześć boską, dzisiejsi indyanie amerykańscy podobno nie pogardzają jego mięsem. Boa w Berlinie trzymany jest w stosownie urządzonéj klatce, a główny pokarm jego stanowią króliki. W straszliwych uściskach potworu biedne zwierzątko rzuca się i krzyczy, dopóki jęki jego nie ucichną w żołądku węża.

ROZMAITOŚCI.

— Czesi w literaturach słowiańskich nie zajmują najpierwszego miejsca: brak im pisarzy genialnych we wszystkich gałęziach nauki i sztuki. Za to mają huk ludzi niezmiernie pracowitych, a oświatę ludową postawili na takim stopniu, jakiego może mało który z narodów słowiańskich doścignął, a jakiego doszło zaledwo kilka narodów obcych, mianowicie niektóre części Niemiec, Belgia, Anglia i Stany Zjednoczone. Pisarze ich najwięcéj pracują dla ludu, a liczne szkoły przysposabiają do korzystania z ich pracy. W roku zeszłym na 3,200,000 Czechów Słowian było 32 średnich zakładów szkolnych czeskich, nie licząc 15-tu niemieckich, a mianowicie: 13 gimnazyów klassycznych, 9 gimnazyów realnych i 10 szkół realnych; w gimnazyach klassycznych kształciło się 3,116, w realnych 886, w szkołach realnych 2,389 wychowańców. Na całą ludność słowiańską i niemiecką liczącą 5,300,000, znajduje się w Czechach szkół elementarnych 3,899, a w nich 6,417 nauczycieli. Dzieci w wieku przeznaczonym na uczęszczanie do szkoły liczy się 670,224, z tych rzeczywiście chodzi do szkoły 642,765, czyli $95^1/_2$%, zatém nie odbiera wychowania elementarnego tylko $4^1/_2$%, a i z tego odliczyć jeszcze należy całkiem niezdolnych do nauki. Seminaryów do kształcenia nauczycieli jest w Czechach 10, do kształcenia nauczycielek 2, razem 12; z tych połowa jest czeskich, a połowa niemieckich.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Сентября (7 Октября) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.